

OKOLICA POETÓW

MIESIĘCZNIK

R. II. — NR. 3 (12)

15 MARCA 1936.



ALFRED ŁASZOWSKI: DYSPOZYCJE LIRYCZNE
MIECZYŚLAW JASTRUN: PROMIĘŃ
ARTUR MARJA SWINARSKI: MANUEL
XENIA ŻYTOMIRSKA: Z POEZJI ANGIELSKIEJ
TADEUSZ BOCHEŃSKI: Z POEZJI FRANCUSKIEJ
STEFAN NAPIERSKI: Z POEZJI FRANCUSKIEJ
JÓZEF ANDRZEJ FRASIK: POLA ŁĄKOM
IGNACY FIK: POSĄGI
LUDWIK ŚWIEŻAWSKI: PRIMAVERA SICILIANA
WITOLD ZECHENTER: CARUSO
TADEUSZ BOCHEŃSKI: POGRZEB
ADAM BIELECKI: METALE
TADEUSZ JULJUSZ DEMCZYK: TETMAJER
JULJUSZ WIT: ZGUBIONE SŁOWO
STANISŁAW CZERNIK: DZIEŃ PRZED ŻNIWAMI
RECENZJE
NOTY



REDAKCJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. POPRZECZNA 2.

DYSPOZYCJE LIRYCZNE

Prosper: Co nazywasz dyspozycją liryczną?

Arjel: Dyspozycją nazywa się trwała właściwość jednostki. Dzięki niej pewne zjawiska psychiczne powstają w człowieku łatwiej, częściej — silniej. Dyspozycja jest więc stanem gotowości wewnętrznej. Jest skłonnością i jest uzdolnieniem. Za jej sprawą czujemy się nastawieni na pewne doznania. Umieamy przeżywać je w sposób istotniejszy, prawdziwszy i głębszy. One namli wstrząsają. Na ich punkcie jesteśmy łatwopalni. Czasem słaby bodziec wyzwała reakcję o natężeniu zgoia nieproporcjonalnym. Twierdzimy wówczas, że usposobienie wewnętrzne człowieka sprzyja tym podnieciom, że stwarza dla nich grunt podatny. Co więcej, pobudliwość naszej wrażliwości sprawia, że oczekujemy pewnych zjawisk nawet wtedy, kiedy obiektywnie wcale zająć nie mają. Tu zaczyna się praca fantazji. Także dzięki niej dyspozycje liryczne potrafią się aktualizować.

Prosper: Zgromadziłeś arsenał synonimów, i poco? Czy sądzisz, że te szkolne ogólniki mogą mieć znaczenie dla poznania w zakresie poezji?

Arjel: Jestem tego pewien. Każdy poeta ma swój liryczny układ odniesienia. Tworzy własny świat. Żyje w kręgu zjawisk wybranych. Porusza się w zamkniętym obwodzie faktów, spraw i zdarzeń. Jest na niego skazany dzięki odrębnym właściwościom swojej apercpcji lirycznej. Zasięg, w jakim działają uczuciowe dyspozycje jednostki, ma swoje granice. Rozpiętość owej skali będzie można dokładnie oznaczyć. Wszak do świadomości poetyckiej przenikają tylko bodźce uprzywilejowane. Zachodzi tu daleko idąca specjalizacja i zróżnicowanie zdolności odczuwania. Nie każdy jest wszechstronnie unerwionym poetą. Mamy fachowców od miłości, pejzażu i „kwestji społecznej”. Jakże często jedna struna brzmi pięknie, inne dużo słabiej. Dlatego świat wyobrażeń i doznań poetyckich jest światem zrodzonym z tragicznej konieczności wyboru. Nieraz trzeba rezygnować ze zjawisk ważniejszych na rzecz tematyki mniej doniosłej; ulec sprawom odczutyim do dna. W ten sposób powstaje subiektywna hierarchja. Rzeczywistość liryczna tworzy się z fragmentów i części. Narasta ze składników, które weszły w nas przez filtr emocji.

Prosper: Tęsknisz do rzeczy zamkniętych i skończonych. Twój poeta, wpisany w koło, wykreśla jego obwód promieniem swoich dyspozycji lirycznych. Te dyspozycje stanowią o jego zasięgu. Zależnie od tego, ku jakim faktom zmierzają, szukamy w ich obrębie granic danej wrażliwości poetyckiej.

Czasem wystarczy rozwinąć wachlarz tematów absorbujących uwagę pisarza, by zorientować się co na niego działałajsilniej.

Arjel: Tak prymitywnie nie myślałem. Wierzę, że każdy poeta jest w pewien sposób zdeterminowany na mocy swoich dyspozycji, ale nie sądzę, żeby koło „magiczne” biec musiało po krzywej tematów.

Wtedy nie możnaby pociągnąć granic zamykających świat jednego człowieka. Te same motywy powtarzają się przecież u wielu. Decyduje sposób ujęcia. Zbliżyamy się do kategorii poetyckich.

Dopiero dzięki nim będziemy w stanie wyszczególnić i specyfikować. Tematy tworzą układ odniesienia. W ich obrębie można badać zasięg dy-

spozycyji lirycznych. Fakt, że identyczne wątki powtarzają się u wielu twórców, nie jest dla nas ważny ani obowiązujący. Ważne jest to, w jakich związkach pojawiają się dane motywy. Decyduje wymowa układu! W nim dostrzegamy znamiona indywidualne. Dlatego spis rzeczy może być obrazem rozwoju. Samo badanie dyspozycji lirycznych nie wystarcza. Jest za ogólne. Jeśli stwierdzimy, że dany poeta żyje pod obsesją grozy przemijania, fakt ten nie pomnoży naszej wiedzy o nim. Znając czyjeś dyspozycje liryczne, możemy co najwyżej zdać sobie sprawę z tego, jakie elementy rzeczywistości obiektywnej twórca sobie przyswoił. Jego świat składa się z rzeczy wybranych. Między bytem wiedzianym a bytem odczutym zachodzi dysproporcja daleko idąca. Te zakresy się nie pokrywają. Doświadczamy wiele, ale reakcja emocjonalna towarzyszy stosunkowo nielicznym zjawiskom. Uczucie jest narzędziem selekcji. Wyodrębniła rzeczy sobie bliskie, odrzuca to, czego nie doznało. Tak powstaje wizja. Budując go, każdy poeta jest elitarystą, człowiekiem wybrednym i przebierającym. Nie wszystko co stwierdził, zrozumiał i pojął dochodzi do finału w twórczości. Proces eliminacji jest czemś podświadomym. Trudno go ściśle określić. Liryk posiada dwa rodzaje wyobrażeń o świecie, mogą się pokrywać na pewnych odcinkach, czasem wiedza wspomaga doznanie, a jednak obraz obiektywny nie przystaje do wizji artysty.

Wizja ma dla poety znaczenie nadrzędne. Jest czemś cenniejszym niż wszelkie naukowe wyobrażenie o rzeczywistości. Wiedzę potrafi zdobyć każdy kto chce i może studjować. Liryczne widzenie świata posiadają nieliczni odkrywcy. Znając twórczość danego autora, oznaczam tymczasowe granice jego wrażliwości. Próbuje wskazać drogę ich przewyżczenia. Taka krytyka otwiera obwody zamknięte. Pragnie uwolnić artystę wpisanego w magiczne koło rzeczy wybranych. Jest on człowiekiem urzeczonym i zaklętym, mimo złudnych pozorów wolności. Musi ciągle rozsadzać granice swego świata. Dbać, aby wrażliwość była wielochłonna i wielokierunkowa. Wyzwolić w sobie więcej dyspozycji lirycznych. Nie być kimś uczuciowo uwarunkowanym. Jedno z najgłębszych źródeł liryzmu: Walka z samym sobą. I żal skierowany pod adresem rzeczy, których jeszcze nie umiem doznawać. Poeta wczorajszy zależał od nastrojów przypadkowych i nieoczekiwanych. Nam chodzi o postawę pełną emocjonalnej zaborczości w stosunku do świata. Zwiększyć zasięg. Zdobywać nowe obszary poznania. Dotrzeć tam, skąd żaden bodziec nie przyszedł. Moje credo: Imperjalizm liryczny.

Prosper: Praktycznie niewykonalne! Chcesz, żeby się poeta sztucznie dopińgował możliwością przeżywania rzeczy, których narazie nie czuje. Każesz mu się wdrażać w nastroje i stany całkowicie obce jego dyspozycjom. Protestuję w imieniu zwolenników autentyzmu. Nikt z nich nie weźmie twej oferty na serjo!

Arjel: Poeta współczesny nie może poprzestać na biernym oczekiwaniu wysokich temperatur. Musi je w sobie rozniecać i stwarzać. Widzę go ożywionego pasją i apetytem wobec zjawisk nieopanowanych. Będzie zdobywał nowe jakości odczuwania, nowe klimaty, nowe smaki psychiczne. Nauczy się pragnąć świeżych przeżyć bez względu na możliwość ich amortyzacji poetyckiej. Dla prawdziwego artysty odkrycie innych doznań jest ważne samo przez się. W danej chwili nie obchodzi go pokusa pisanía.

Wybiera życie ciekawe i pasjonujące, bo jest aktywny, bo chce je sobie stwarzać i organizować. Ceni żywioł dla niego samego. Tkwiąc w nim nie myśli o twórczości. Ożywia go duch przygody w najlepszym znaczeniu tego słowa. Zmienia wszystko: tryb życia, kobiety, środowisko. W imię higieny wyobraźni. Trzeba ją naświetlać, poddawać nowym skutecznym zabiegom. W naszej poezji współczesnej za mało jest konfliktów osoblistych, erotycznych, zawodowych i t. d.

Prosper: Żądasz liryki awanturkowej. Tomu wierszy p. t. „Kłótnie.“ Niech będzie i to. Ale ja mam ważniejszy postulat. Marzeniem moim jest poezja wyrażana bez udziału rzeczy.

Rozróżniam liryzm przedmiotowy, który ujawnia się dzięki wzywnemu przekształceniu rzeczy, — i czysty liryzm podmiotowy. On będzie wyzwoleniem z pod tyranii świata zewnętrznego. Niewolnicy przedmiotów wciąż tłomczą wzruszenie na przestrzeni, zamiast obnażyć jego przebieg w sobie. Uprawiają liryzm opisu. Liryka czysta jest liryką wewnętrznych doznań.

Arjel: Fikcja! Emocja rodzi się w starciu ze światem. Jest wyrazem naszej negacji albo aprobaty.

Emocja przychodzi z zewnątrz. W przedmiotach bliżej źródła liryzmu. Wyrażając go, musimy sięgać do sprawców. Czujemy obrazami. Nato niema rady.

Prosper: Dzisiaj jest tak: Naprzykład: Poeta się zakochał! Włęcz krajobraz, włęcz księżyc, deformacja, ekwiwalent rzeczowy. Rzeczy drżą i płoną, rzeczy są wzruszone, rzeczy wyglądają lirycznie. Ludzie? Ludzi prawie niema. Świat przestał być światkiem, stał się główną osobą. Tak powstała liryczna dysporcja między człowiekiem a rzeczywistością. Rzeczywistość zewnętrzna pochłonęła nasze uczucia bez reszty. Zamiast czystych wzruszeń przeżywamy obrazy wzruszone. Marzeniem moim są uczucia pozbawione odpowiedników rzeczowych. Liryczny wygląd rzeczy nie interesuje mnie. Czekam na poezję, która będzie nam mówiła o wysokich ciśnieniach w człowieku.

Jak się emocja spętra i rozpięta! Ona: zgęszczony słup powietrza. Atmosfery uwięzione w nas! Należy przerwać związek między wzruszeniem a jego przyczyną życiową. Bodziec nie jest ważny. Ważne jest to, co wywołał i co spowodował. Kategoria przyczynowości powinna zostać wyeliminowana jako coś racjonalnego.

Czysty irracjonalizm osiągnęliśmy dopiero po jej wyłączeniu. Podnieła sprawcza padnie ofiarą elipsy. Czas wyrzucić ją za nawias poezji. Stworzymy kategorie inne, stworzymy kategorie poetyckie. One wyjdą z istoty poezji. Odkryją wam was. Odkryją horyzonty wnętrza. Twierdziłmy: Każda wielka emocja rodzi się z wszystkich poprzednich. Tylko człowiek naiwny uważa ją za skutek ostatniego zajścia. Gdybyś wleźła, jak stare bywają rodowody uczuć datujących się rzekomo od dzisiaj. Wiem, że uczucia się sumują, rosną jedne na drugich warstwach. U nas panuje kult uczuć najświeższych. Wyrażamy je bez związku z innymi, bez związku z całym naszym życiem.

Arjel: Kończę hasłem: Awangarda zwalcza plastykę w poezji!

ALFRED ŁASZOWSKI.

MIECZYŚLAW JASTRUN

P R O M I E Ń

Ześlizgnął się po twych ramionach
I zbiegł, i w ciemność — klinem.
To rzeczywistość umówiona
Rozjaśnia swe kurtyny.

Płaszczyny, fałdy pól rozchyła,
Gdzie wody głąb i kora
I dom i sen i cień motyla
Na cytrynowych sztorach.

Południa głowa gorejąca,
Jak głowa fauna krwawi,
Skoszona słońcem, w brzuku słońca,
W kosmykach kwietnej trawy.

ARTUR MARJA SWINARSKI

M A N U E L

czyli PRZEOBRAŻENIE PEJZAŻU

1. Jedyne cyprys był chudy
Jak elgrecki święty,
Z Toledo w niebo wzięty.
Na szarej chmurze stanął
Oliwnych liści:
Gotycki anioł,
Akt strzelisty.
2. Wtedy w krajobraz wszedł Manuel —
3. Nagle porudziła oliwkowy krzew.
W cyprysie wieczorna wezbrała krew,
Że aż się w niebo worać chciał,
Pełne różowych ciał:
Phallus z rudych kędziorów wyrasta,
Obłoki nagie i całe w rumieńcach
Uciekają z miasta.

Z POEZJI ANGIELSKIEJ
PRZEKŁADY XENI ŻYTOMIRSKIEJ
ROBERT GRAVES.

U L I S S E S

Dla tego łowcy przygód każdy kłopot
Miał twarz koblety, miał koblecą postać.
Raz była nią cnotliwa Penelopa,
Raz płocha Cyrce, gdy w jej sidła popadł.
I tak nazawsze miało już pozostać.

Koblety były zmorą jego losów, —
To jedno zło mu życia bujny tryb dał.
Czy, jako fale, pośród burzy głosów,
Czy, jak senny spokój wśród lotosów,
Czy, jako groźne Scylla i Charybda,

Czy śpiewających syren tłum przebległy,
— Gdy minął brzeg, wabiły go z powrotem, —
A on — ciekawy, chytry i uległy, —
Stał na okręcie, gdzie go więzy strzegły,
I słuchał, drżąc, zroszony zimnym potem.

Dwie — wiele — jeszcze więcej... krew oślepla...
Jest jeden cel, — a odeń los zawisły —
Jest jedna rozkosz, znana mu najlepiej,
I jedna myśl, w żalobnej strachu krepie,
I upojone swem zwycięstwem zmysły.

Marzyły o nim córki królów... Ptaki
Zaniosły sławę jego dróg za morza...
Uwielbiał cnotę, — ale los miał taki,
Że w żadnym kraju, — jak wśród skał Itaki —
Nie umiał wejść do samotnego łoża.

WILFRID GIBSON

ODROCZENIE

Ponad cmentarzem zwarty chmurek krąg
Zatrzymał motor, — bliska ziemia rośnie —
Jakgdyby setki pogrzebanych rąk
Szarpnęły go ku sobie wdół zazdrośnie.

Wyrównał młody lotnik. Ujął ster
I poniósł w słońce — wzwyż — motoru pieśnię.
Zaś po cmentarzu przeszedł cichy szmer
— Jeszcze nie teraz, jeszcze jest zawcześnię. —

Z POEZJI FRANCUSKIEJ

JEAN COCTEAU

PRZEKŁADY TADEUSZA BOCHEŃSKIEGO

MIŁOŚĆ I STRACH

Liśćcom, co się na drzewach mieszają i płaczą,
podobne jest miłości naszej płomienienie.
Ciała nasze na łożach tak się właśnie łączą,
jak Imię Jana z twojem zgodzone imieniem.

Ej, wołałoby morze, że mu się z topieli
najosobliwszy wymknął dziwolągów ród,
gdyby mogło polipa ujrzeć na pościeli,
tarzający się węzeł naszych rąk i ud.

Lecz kiedy noc w szarzynę rozpada się świtu,
ty grzywy się rumaka chwytasz, naga,
a rumak, niespętany sen, rusza z kopyta
i, w otchłań cię unosząc, we mnie strach rozmaga.

P O S T Ó J

Stań, kolaso miłości! W jedwabnym oto chłodzie
legniem i pogwarzymy, a nasze mądre nogi
tymczasem jako ciepłe drzemać będą słowsze,
szyję raz wraz pieściwie zarzucając na szyję.

MAX JACOB

PRZEKŁAD STEFANA NAPIERSKIEGO

PRZYGODNY WIERSZ

Mimoność! Żyje przeszłość, odrodzona z prochów.
Pod brzemieniem popiołów lata mnie zdławiły.
Gdy kto się wspinał, trzeba nawracać potrochu.
Do spokoju nicości nie starczyło sły.

Wielka pustynia była, pantofle twe, nocy!
Drzewo moje zwierzylem kniel gęstej losu.
Zawędłem w lochu nudy, wzywając pomocy,
Lub w posępnych festynach, gdzie tańczy się boso.

Fortepian zmilkły w dźwięków girlandzie nie tonie.
Z pióra opadły same nieuczzone dłonie.
Artysta szedł mozolnie przez pustkę ulicy.
I dziś u progu nowej stanąłem wleźcy.

Rozewrzyjcie się, szczytne Parnasu wierzaje,
Podziwiam was w milczeniu i złocone Kocham.
Nieświadomość wzburzenia uwielbia nadzieję,
Szuka, klucz odnajduje i wzbija się płochą.

PIERWSZA KOLUMNA POETÓW KRAKOWSKICH

Nim przystąpimy do wydania specjalnego numeru, poświęconego całkowicie poetom Krakowa, obecnie — w myśl poprzedniej zapowiedzi — dajemy drugą z kolei (po kolumnie wołyńskiej) kolumnę regionalną. Krakowska okolica poetów jest krainą urodzaju, ziemią licznych piór poetyckich, które może niezawsze wyrażają wybitne, wyraziste talenty, ale zawsze — nawet w przypadkach przeciętności — odznaczają się właściwościami starannie pielęgnowanej kultury poetyckiej. W pierwszej kolumnie zamieszczamy utwory ośmiu poetów starszego i młodszego pokolenia.

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

POLA ŁĄKOM

Łąka śpiewana schylonemi wierzbami
zawsze wleczorem ogromnieje błonem
błonia,
gdy zbierzesz tam ostatnie krzyki czajek
upadają najciszej zgubionemi nutami.

Poczem ze wzgórz, w doliny — pola
odwianą skłąbą, granicznym kamieniem —
polom — polniej,
łąkom wieczorne zdziwienie
i wiatr:
wieczorny grajek — —

* * *

O wróc te czarne zawiane czasem chwile
niech zielonemi miedzami, zoraną skłąbą tu zejda!
Dawniej tyle:
dawniej poganiałem ci karego konia przy orce,
dziś już nie pieszysz, — wiem, ojczę:
— bieda.

Włęcz pozwól, że błogosławłę ten trud pełną pogardy pieśnią
dniom, wracającym pługom, skowronkom:
co wleczne, jak orka, nie odmlenisz,
co twoje musisz nieść
ojczę.

Słyszę włosną, gdy orzesz
tu zdala za wspomnieniami, jak w tamtym krajobrazie
podają zdławione słowa:
łąki — polom
pola łąkom.

P O S Ą G I

1. W miastach, które przepalił ogień zielony, pleśń i szaleń
 stoją w niemym powietrzu na rynkach zmyślonych —
 po twarzy deszcz spływa i piorun :
 nie czują czy słony —
 — są dalej.

Obok codziennie rułn przyrasta w ulicach,
 tło nieba wyblakła się płachtą narzuca,
 ale przechodzeń je oczom jaknajlaskawiej użycza,
 wzrok staje chętnie
 i bleg swój nerwowy ukróca.

2. Ach — czemu tors zgruchotany oczy bezwiednie uwodził,
 gdy tysiąc krzyczy odkrytych a nienazwanych urodził ?

czemu się kocha te nad brzeg spadzisty wiodące pomosty,
 gdy żywym wybuchom tęsknot profil dotychczas nie ostygł ?

czemu się w dłoniach okruchy te kaleczące pleści,
 gdy jedli się wichrem i żarem nami zarosła przestrzeń ?

3. Na żywych napada zwycięsko drapieżny huragan,
 a groby wyniosłe herosów ciosanych omija —
 nie da się zranic do bólu pierś twarda i naga,
 ni szarf nie da się zerwać przed wiekiem zwłazanych na szyjach —

Ciała bogów zrobione z nieużytego metalu
 w zwojach kamiennych i fałdzistych płaszczów
 to, co już ludzkie i straszne,
 wiem:

zaprzepaszczą !

a swoje nieczułe i nikczemne życie
 z klęsk ocalą !

4. Przeraza ogrom tych złudzeń i lęk nieznośnych omamień
 i sens wydarły niedorzecznym snom :

że dłużej żyje od nas :

bóg, co jest zrobiony z pustego mosiądzu
 i cesarowie z marmuru, co na rynkach rządzą
 i wszystko to :

co się zmieniło w żelazo i kamień.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

PRIMAVERA SICILIANA

kaktusy czerwonymi ognikami
sokłem słońca w gąszczu ociekają pomarańcze
Sycylja odpływa
lazur nieba malują smukłe pędzle palm
oddawna was złotemi malowałem snami
fantazji śpiewne tańce
nieukojonych ptaków psalm —
słońce zpoza skał słońce zza skał złożonych
może kąpie w locie, skały olśniewa
płonące chmury zmoczone w zachodzie
przez barwę horyzontu przewleka, przewiewa
szumią kwiaty
ziemia w pianach woni, góry w szaleńczych pióropuszcach
w farbowanych kołach radość toczy się i połyska
i morza kołyska tuli skośny żagiel
dalekich marzeń jacht
wyspą słońca kwitnie mi dusza
piękniejsza moja włosna niż włosna sycylijska
bogatszy jestem niż boży świat

WITOLD ZECHENTER

CARUSO

Włęcz jeszcze, jeszcze wam się mój głos podoba —
wciąż mnie słuchacie rozmarzeni —
a przecież gnije moja głowa
w czarnej ziemi.

Nikt z was nie wspomni słyszając pieśni słowa —
o senjora, senjorita! —
że z płyty nucąc wam gramofonowej
grobową jestem przywalony płyta.

To trup śpiewa wam w patefonie
i w głośniku radjowym krzyczy —
przeżarte na krzyż składam dłonie
i wlecznie głos swój słyszę w przeraźliwej ciszy.

Oczodołami patrzę w wasze próżne dusze,
żeście mnie uwłęczili na wieki
i po śmierci pieśni namłętne śpiewać wam muszę,
od życia najwięcej daleki.

I wiem, że miłość kwitnie w Neapolu
i morze błękit nieba kradnie,
w Wenecji kwietne płyną gondole,
kwiat purpurowy czasem w wodę wpadnie.

Triumfem nowych śpiewaków nabrzmlęwa La Scala,
przechodzą wiosny i lata nad Sorrento,
w ruinach Rzymu Cezarów zachód liljowo się spala —
o wiosno! zachodzie wiosenny trujący miłością zakłęta!

Śpiewam pieśni miłosne
ohydną, pożółkłą szczęką —
a wy tam macie wiosnę,
kwiaty wam pachną miękko.

Śpiewam wam pieśni życia leżący w śmierci dole —
ach, usta wasze w pocałunkach, dłonie w uściskach się wiją —
śmieje się wiosna i słońce — słońce — sole
o sole, o sole mio?!

TADEUSZ BOCHEŃSKI

P O G R Z E B

Chuda była, koścista i czarna.
Szła śpiesznie, okrutnie,
ale ciężko, jak idą żarna,
i smutnie.

Coś niosła. Nie wiedzieli, co,
choć ją mijali o łokieć.
Młody mijał i gwizdał,
starszy na ogarek papierosa nieczyj,
na chodniku leżący nie przystał:
końcem palicy
zepchnął go w stok.

Była chuda, koścista i czarna.
Szła śpiesznie, okrutnie,
ale ciężko, jak idą żarna,
i smutnie.

Coś niosła. Szary papier
osłaniał to oble, zświecka.
Trzeba było zajrzeć w lufę papieru szarą,
aby poznać trumienkę dzlecka.

ADAM BIELECKI

M E T A L E

Osm. Wolfram. Iryd. Tantal.
Najrzadsze metale żarówek.
Rtęć w sadzawce na plantach
rozpuszcza krążki dwuzłotówek,
latarnie pod łuną ołowiu.

Potem sny, drucziane słatki.
Metali lekkich barwny trzepot.
Złamane skrzydła i jarmarczne szmatki.
Kołujące chemicznie, ślepo,
jak w palniku w przedrannej głowie.

Jeszcze księżyc mijając w ciszy trąci przeszłość,
brzękliwą muzę srebrną o twarzy bohatera.

Miedzlana jutrznia i mgły cyna tracą wdzięk świeżości.
Wschodzi słońce z orkiestrą mosiężnych karniszy, w zapachu miodu
i blasku platerów.

TADEUSZ JULJUSZ DEMCZYK

T E T M A J E R

wieczorem
w ciszę domu wędrówką utrudzon
arterjami stolicy jako plełgrzym kroczyz
w ciemnej głębinie źrenic — nieodgadły ludziom
błądzącym bezustannie wśród miljona oczu

poeto

fałą tłumy w tysiącucylicm młścię
ku zaułkom ku ceniom pod mury zepchnięty
wołasz zmiłkłem! usta:

limbę mi przynieście

włchry halne

mą limbę daleką i świętą

twą postać
twoje źrenice
twoje palto cienne
ileż razy spotykam w Alejach o zmroku

powolnym stukiem laski wsączają się we mnie
jak uderzenia tętna

odgłosy twych kroków

i gdy patrzę i twarz twą rozumieć się silę
coś mnie jakgdyby plorun nawyłot przewierca

panie

zblíž się i słowem chociażby na chwilę
zdejm z ust molch wiersz twardy

tak, jak kamień z serca

pieśń twą, co niegdys drzewem rosła w międzyswłerczu
płomienie lat niewdzięcznie spaliły na węgiel
dziś

na ścieżkach Łazienek zasklepił się w sercu
smutek niewypowiedzi

przetaczany kręgiem

JULJUSZ WIT

ZGUBIONE SŁOWO

Posłuchaj
jak się wplata ta noc
w podwójne cykanie zegarów :
chrobot cierpliwy czasu
jak wpada w nią
szum pociągów
pośpiech podróży
płonie nlepokój i szyny
noc jak guz
lampa naftowa
wplata się w noc
płomieniem
który nle boli
w łzbie sąsiedniej
wody plusk
praniem szepleni
noc naftowa
papier biały na stole
chłodny ołówek
i ręka pisząca bezwiednie
ręka wpleciona w noc
i szum
ale daremnie
nie złowisz słowa

trwa słowo
bezsennie :
na półce w pociągu
zapomniany podręczny bagaż
noc pędzi i pociąg
podróż bez końca
nle nazwiesz słowa
splątane słowo
noc zaplątana
tylko podwójne cykanie zegarów:
cierpliwy owadów chrobot
szum pociągów
wody plusk
i słowo
słowo zgubione
słowo zapomniane :
koło
pociągu
koło
pociągu
wplątane
w bezsenny
mózg

STANISŁAW CZERNIK

DZIEŃ PRZED ŻNIWAMI

SIELANKA W TRZECH AKTACH

Akt trzeci

(Plac przed kościołem wiejskim. Kościół otoczony niskim murem. Brama, wiodąca na cmentarz kościelny, jest głównym punktem sceny. Popołudnie dnia następnego).

Scena 1.

STUDENT (w przygnębieniu)
Tak, tak.

PISARZ (entuzjastycznie)
A jednak wrócił, wrócił.
Jak księżyc srebrzyło się auto.
Drugi księżyc świecił z nad lip.
Z samochodu, jak z księżycyca rozsądził. —
Spłynęło światło! — —
Rozsądził i nawrócił.

STUDENT
Już słowa składają się w nimb,
nimb się otwiera, jak mit,
mit pod gwiazdami błędzi.
Nie — to nie auto — to księżyc,
księżyc was wszystkich rozsądził,
nawrócił:
ciebie — Dziedzica — Proboszcza —
Jana — Wojciecha...

PISARZ
Nawrócił wszystkich —
dalekich, bliskich:
lud, panów, księży...
Nawrócił dwory ku strzechom,
strzechy ku dworom.
Ta wieś od innych uboższa
oddana już jest aniołom,
i nowe otwiera dzieje —
jak Betlejem.

STUDENT
Aż tak?

PISARZ
Wkrótce tu przyjdą z kwiatami
dziewki, parobcy, cała wieś.
Odbędzie się nabożeństwo
na jego cześć.

STUDENT
To już?

PISARZ
Tu się słowo wyległo, jak ptak,
słowo — splewać, nie słowo — jeść.
Pokój Boży, a nie — bóg burz,
anielstwo — nie człowieczeństwo.

Tak.
Już.
Tu.

STUDENT
O bałwochwalstwo!
Ekstazy w utracie tchu!
Cud.
Zwijają się warstwa za warstwą:
lud,
nauczyciele, księża,
ziemianie, profesorowie.
Człowiek się zwęża,
powstają aniołowie —
niespodziewanie, naraz —
cud,
nowa wiara.

PISARZ
Nie chcesz uwierzyć?

STUDENT
Każesz mi nie żyć.
Lecz żyję. Żyje mój mózg —
on nie pójdzie do tego kościoła,
nie uwierzy w szatana, anioła —
dopóki wierzy w człowieka.
Nie uwierzy w czary, uroki,
nadprzyrodzone wyskoki,
w natchnienie, co zgóry ścieka.
Czyż może pewnego rana
nastąpić, jak w bajce dla dzieci,
wielka przemiana?
Czyż na to nie trzeba stuleci?
Och, to jest bańka mydlana
teu wasz apostoł —
pan w samochodzie.
Nie zmieni ludzi w aniołów,
gdy na moment mózgi w nich posną,
jak w szatanów nie przemieni sosną.
zostanie człowiek człowiekiem,
sosna — sosną.
Odejdę — nie chcę tych szczęść —
waszych cudownych much,
bo czarne, jak były przed wiekiem.
Ale gdy wrócę —
wszystkie te mary wywrócę,

ja — ludzki, cierpiący duch
i moja ludzka twarda pięść
(odchodzi)

Scena 2.

NAUCZYCIEL

Od wczoraj — i nie od wczoraj
pachną różowe maliny.
Jestem duchem Kirkośa —
szukam Aliny.

PANIENKA

Z chłopskiego ogródeczka
wezmę zielony strój,
jak jabłoneczka —
wszystkim bliska,
nikomu nie obca —
z serca, z imienia, z nazwiska.
Lecz kocham jednego chłopca,
miły mój.
(Łączą się dłońmi, pełni ek-
stazy miłosnej aż do końcowej
sceny)

Scena 3.

CHŁOPI niosą biały posągiusta-
wiają go w bramie przed
kościółem. PROBOSZCZ I ARCHEO-
LOG udzielają wskazówek.
Schodzi się LUD. DZIEWCZĘTA
stroją rzeźbę kwiatami.
Wszyscy ubrani świątecznie.

ARCHEOLOG

Byłby ozdobą zbiorów narodowych.
Zbadałbym każdy duża ciąg,
a potem zlałbym treść do ksiąg
wielotomowych.
Wciąż schodzą się ludzie —
milczący, skupieni, łagodni.

Scena 4.

PROBOSZCZ

(jakby w natchnionem kazaniu)
Już nie przeczuję, — już wiem.
Między czuciem a wiedzą był wyłom,
lecz się zamknęło ogniwo
przed czynem dnia słowem świtu.
Tak było przed wiekami,
tak było wczoraj przed dniem.
Świt-słowo stanęło przed nami,
słowo — miłość —
pierwsze ziarenko dane naszym niwom,
genezis kiełkowania, rośnienia, rozkwitu,
a potem dojrzewania,
a wreszcie żniw.

Już wiem.

Przez sitowisko nieznanie
wybiega nam nad jezioro
dnia idącego różowawy ranek.
Słowo rzucone wczoraj
już woła ku nam, jak orlica biała
szczerwienionem swojej piersi tłem —
dzień słowa wpięty w świt ciała.
A gdy w jutro mówię świtu słowo,
słowem palę się, jak prochy sine,
i poruwam się nagle, orłowo,
i przez słowo, jak przez rzekę, płynę.
Wiem, na jaką nas wiedziesz głębinę,
wiem, nad jakim zatrzymasz nas dnem,
jakich gwiazd nam zaświecisz powalą,
przewodniczko słów, orlico biała.
Kiedy w jutro mówię świtu słowo —
Miłość —

nie zapomnę, jak wczoraj wołałem,
gdy wśród krwi się różowił twój kabląk,
i czerwił się bólem twój głos — —
że go w sercu naprawdę nie było.
Z krwi, jak słońce powstające z nad łąk,
dziś ze snu wstałaś.

Odtąd światła wskazujesz mi los,
przewodniczko słów, orlico biała.
Najmilsi!
Dziś rozumiemy się wszyscy najjaśniej,
serce tem słowem ku sercu się skłania.
I oto ten biały posąg —
wczorajszy symbol waśni,
stał się posągiem pojednania.

ARCHEOLOG

Pięćdziesiąt napisałem ksiąg
o kulturze wyczytanej ze skorup.
A teraz będę chodził boso
z wami po ściółkę do boru,
po siano z łąk.

DZIEDZIC

Była otęta kopułaństwo.
Był kościół bizantyński.
I cóż się dzieje z tą kastą,
że czuję się wam bliski,
staję się jak igła prosty,
jasny, wnikliwy, ostry?

PANIENKA

Mam zielony strój,
jak jabłoneczka wśród malin.

NAUCZYCIEL

Zmartwychwstała dawna Alina

PROBOSZCZ

Ludu mój!
Głos prawdziwego, idącego żniwa
tak w każdym się odzywa,
tak nas ku sobie skłania,
i wraz nam usta otworzy

Wyrazami najczystszej miłości —
Duch Boży.
Bracia — nowe szyki.
Bracia — mowa składna :
Już nasze języki
nie drżą nam jak cymbał,
ani nasza wiedza,
jak złamana limba.
Ani straszny przedział
nie tkwi między braćmi,
jak wyżyny gór.
Ani nas nie zaćmi
pozlaczany dwór.

DZIEDZIC

Niewiadomo, jak się to nazywa —
jakiś odwrotny proces,
może wydłużanie się ducha,
nagła przemiana materji.
W okragłej poczwarkowej powłoce
kryła się igła subtelna.
Jakieś słowo rozplatało więzy,
rozdzieliło kokon.
Spadły powłoki, jak szerniałe worki.
Podnoszę się wysoko —
kształtny, prosty, niedzielny.

PROBOSZCZ

Tak zboża idą do żniwa
wysoko i głęboko —
kłosami i korzonkami.

DZIEDZIC

Serce drży.
Tak mi raz tylko drżało,
gdy wódz
bez słowa mi wręczył
virtuti militari.
Czyjś wzrok mnie chłosta,
szeleści jakaś karta biała,
jak rozkaz.

PROBOSZCZ

To dobra wola.

DZIEDZIC

Wiem.
Moi wiejscy, kochani sąsiedzi,
chcę z serca słowo zdjąć —
wam oddać, rzec.

PROBOSZCZ

Zaczyna się miłości wiec.

DZIEDZIC

Polami błęta błyskawica.
Przez jeden błysk
wszystko ujrzałem.
Niema już we mnie dawnego szlachcica.
Jestem prosty i mądry poprostu,
jak chłop, jak wieśniak.
Ziemia bez ostu
dziś we mnie się ucieleśnia.
Tu przed posągłem świętym

odczytam akt.
Tego aktu sam Bóg jest rejentem.
Więc postanawiam tak :

(c z y t a)

Łan, który biegnie ku Kąkowej Woli
będzie od jutra Pawia i Koboli.
Łan Zielonopolski
wezmą : Wiewiórka, Kolasa, Migolski...
Łan „Na pagórkach“
niech wezmą : Kwiatek, Cichy i Paluba...
Łan „Przy kaszubach“ —
Pośnia, Lichoń, Tarcza...
Cała służba folwarczna
dostanie ziemię.

WOJCIECH

Śłuchajcie, ludz'e :
dziedzic darował wam łany.

DZIEDZIC

Człeku kochany,
w waszym ta ziemia upała się trudzie.
Wasza jest.

LUD

Nasza. Zapłać Boże !

DZIEDZIC

Niech na pożytek idzie.

LUD

Bóg zapłać !
Radość po bidzie !

DZIEDZIC

I jeszcze jedno :
resztę mej chudoby
rozdzielę między całe Międzyborze.
Każdemu jasną zbuduję zagrodę
za moje akcje bankowe.
A na dwóch krańcach
dwie szkoły piętrowe
wystawię.

PROBOSZCZ

Błogosławię. Błogosławię.

SOŁTYS

W imieniu gromady, jasny panie !

DZIEDZIC

Już znikło tytułowanie.

SOŁTYS

Imieniem całej gminy
pytam się przecie z troską : —
gdy oddasz wszystką chudobę,
co się z tobą stanie ?
Nie użyjesz chyba rosą hoską,
a masz i córkę — kochanie,
dziewczátko młode.
Imieniem wszystkiego chłopca
prosimy —
byś sobie jeden dobry łan zostawił,
gdzie najrodniejsza do zbierania kopa.

Tyś się na wojnie krwawił,
krwią się pociliś jak potem.
To także ciężkie są kośby.
Chylimy się pokotem —
wysłuchaj gminnej prośby.

DZIEDZIC

Nie zapomniałem.
Dla mnie zostanie dwór
z obejściem całem.
I ogród — wzór.
W ogrodzie będę ogrodnikiem,
hodowcą róż.
Chcę służyć wam radą i wzorem :
będę rolniczym instruktorem
w tym okręgu zbóż.

PROBOSZCZ

Błogosławię. Błogosławię,
SOŁTYS

Narodzie wolny !
Krzyknijmy wszyscy najszczerzi
ode dna chłopskiej piersi :
wiwat ! instruktor rolny !

LUD

Wiwat ! Wiwat !

DZIEDZIC

Jedna wiara — jeden cud :
Z szlachtą polską polski lud !

PANIENKA

Ojczy, nowa godzina.
Myśmy zniw nowych natchnieniem.
W Atiny mallnach,
zgubionych w dawnym przedranu,
znaleźliśmy się złączeniem.
Ręcz błogosławić naszemu kochaniu

NAUCZYCIEL

Zapach malin błęł czasem, jak borem,
bór-czas stał się symbolem
nienawiści i krwi.
Dziś zmienia się w przeciwność —
połączenia wsi z dworem
malinowem okolem.
Wejdzimy razem w te drzwi.

DZIEDZIC

Koniec walce.
Błogosławię te głowy,
ich wzniosłą symboliczność
błogosławię —
jak najpiękniejszym ziemniakom w opalce.

PROBOSZCZ

Otośmy więksi, objętsi i szersi.
Serca dojrzały nam w piersi,
jak chleby w piecu.
Więc miłość jest na tym wiecu ! —
początek cudu.
Módlmy się spolem,

modlitwą dziękczynienia,
modlitwą radości.

DZIEDZIC

Zacznijmy śpiewać
hymn miłości.

Scena 5.

Wchodzi HARFIARZ — jak ten
z druidycznych głązów Rozy
Wenedy.

HARFIARZ

Stara harfa Derwida,
ciężka jak młot.
Czy się wam przyda ?
Harfa czerwona, jak młot
rozpalony.

PROBOSZCZ

Harfiarzu przez Boga zesłany, —
gdy się skończyło zło —
twoja pieśń będzie, jak płomyk
starego drewna
w nowych czasach.

HARFIARZ

W krwawych chowała się lasach
ta harfa śpiewna —
jej struny mają dźwięk czerwony,
jakby były nabrzękle krwią.

PROBOSZCZ

Bo miłość jest jak krew.

HARFIARZ

Struny drżą.
jakby bólem ślezione,
straszone marą.

ARCHEOLOG

Harfa tęskni za śpiewem.

PROBOSZCZ

Harfiarzu, graj w imię Boże !

DZIEDZIC

Miłość śpiew.

HARFIARZ

We wnętrzu strun
widzę płomienie.

PROBOSZCZ

Płomienie nadziemskich łun.
Pali się boskie tchnienie,
jak podczas ofiary zboże.
Zaczynaj w imię Boże.

HARFIARZ (jakby w pół-ironji)

Ręce —
na struny.
To będzie strumyk
brzęczeń
anielskich.

To będzie sielski
dym —
ze zboża.
Miłości hymn —
stara pieśń boża.

(nagle zmienia ton)

Tak.
Hymn.
Barwny.
Złoty.
Jak krople rozpalonego metalu,
wstrzyknięte w gardło.
Hymn
mocny,
jak lufa karabinu
wbita między oczy.
Hymn
wonny,
jak trujący gaz.
Złoto uderza — nie słowo.
Karabin wam w oczy — nie śpiew.
Fosgen was zdusi nie miłość.
To on,
straszny hymn ludzkości:
niema,
niema,
niema miłości!
Więc czemu śnicie,
że przyszedł cud.
Wstańcie na podłe życie,
na walkę znów.
Oto wasz śpiew,
straszny hymn ludzkości:
niema,
niema,
niema miłości!
A to jest moja ludzka pięść.
Walę nią w złudy, jak młotem.

(symbolicznym gestem uderza
w posąg)

(Posąg pada z trząskiem)

(Rozsypuje się na części)

WSZYSCY

O! O! O!

(W czasie uderzenia maska
HARFIARZA opada, a nad zwa-
lonym posągiem ukazuje się
STUDENT)

STUDENT

Jesteście przebudzeni.

Scena 6.

PROBOSZCZ

W moją głowę uderzył tym młotem.

DZIEDZIC

Z oczu spadła mi katarakta.
To był sen.
Jesteśmy przebudzeni.

ARCHEOLOG

Zwałony z łoskotem,
zmienił się w kupę kamieni.
Przepadł mój traktat.

PANIENKA

Brzydko pachną maliny,
jak chłopski pot.
Nieladna jabłonka
wyrośnie z dziewiczyny,
gdy wchodzi w niemądre pakta.

NAUCZYCIEL

Kochana — moje śliczności —
tyś błada.

PANIENKA

Proszę bez poufłości,
mój panie.

NAUCZYCIEL

Kochana!

PANIENKA

To była maskarada.
Skończyła się zabawa.
Trans minął.

NAUCZYCIEL

Koniec symbolu —
najpiękniejszych ziemniaków w opalce.
Sny Kirkorowe giną.

SOŁTYS

Imieniem gminnego chłopa
pytam, jasny panie,
co będzie z tą darowizną?

DZIEDZIC

Tu było wszystko naopak.
Widzieliście — oczarowanie.
Djabel się mieszał w te sprawy.
To nieprawda — to były czary.

PROBOSZCZ

Nie do wiary. Nie do wiary.

DZIEDZIC

Tak. Nie do wiary.
Szkoda czasu.
Piękna pogoda.
Do żniwa.
W pole.
Do lasu.
Do roboty.

SOŁTYS

To na nic ta ugoda?

DZIEDZIC

To były czarcie zaloty.
Mówić szkoda
o takim apostołe.

SOŁTYS

To chodźta, chłopcy, do roboty.
Dość znuudy. W pole.

(rozchodzą się)

Na placu zostają: PROBOSZCZ
i ARCHEOLOG

PROBOSZCZ

(klęka w drzwiach kościoła —
modli się)

Panno święta, co Jasnej bronisz
Częstochowy

I w Ostrej świecisz Bramie.

ARCHEOLOG

(nad szczątkami posągu)

Byłby ozdobą zbiorów narodowych.

Zhadałbym każdy dluta ciąg,
a potem zlałbym treść do ksiąg
wielotomowych.

RECENZJE

JÓZEF CZECHOWICZ. NIC WIĘCEJ. Warszawa 1936. F. Hoesick.
Str. 53 i 3 nl.

W nowych poezjach Czechowicza przewija się gra różnych przeciwieństw, które w poprzednich tomach nie zaznaczały się tak wyraźnie. Najbardziej zajmuje mnie moment prostoty, umiaru i szczerości lirycznej jako przeciwieństwo nużącej zawilgości w wędrówkach przez barwne pałace snów i wizyj. Oddają pierwszeństwo wierszom nacechowanym prostotą, myśląc, jak trudno dzisiejszemu poecie mówić mową niezawikłaną i najprostszą: „dzień bursztynowy mija rok za rokiem przemija nielekką...”. Utwory precyzyjnej kategorii (często wprawdzie rozrywane „kojącymi” wstawkami) wskutek błyskotliwego słownictwa i bogatej dekoracyjności wizyj: złoto, złotogłów, marmur, emalja, ikony, rubiny — przypominają dawne wędrówki przez „porfirowe” komnaty basileusa Micińskiego. Nie chcę bynajmniej twierdzić, że pierwszy rodzaj daje utwory bezwzględnie wyższej klasy. Zastanawia mnie tylko twórcza możliwość skutecznego wypowiadania się poety w „treścio-formach” (to określenie szczególnie odpowiada utworom Czechowicza) wprost przeciwnych, i widzę — na przykładzie poety — jak to przyczynia się do wzrostu bogactw twórczych autora. Przypomina mi to żądanie imperjalizmu w liryce, postawione przez Łaszowskiego.

Recenzując poprzednią książkę Czechowicza „W błyskawicy” (w „Zęcie” z 1934 r.) wskazywałem na wyjątkowo spotykaną u nas prostą drogę rozwojową poety. Obecnie mamy dalsze potwierdzenie tego faktu. Czechowicz wszedł na drogę poetycką przed dziewięć laty jako wyraźna indywidualność, jako przedstawiciel nie tylko wybitnego talentu ale także własnej, wtedy jeszcze zapewne intuicyjnie posiadanej poetyki. Po wydaniu sześciu książek, poeta dał nam dowody, że idzie naprzód, nie zbaczając z wybranej drogi. Nie widać u niego kołowań, tak znamienych dla wielu innych poetów współczesnych. Każdy nowy tom jest dalszym ciągiem poprzednich; to nie etapy poszukiwań lub błądzenia w mroku, lecz marsz świadomego swej roli twórcy i odkrywcy.

Potwierdzeniem powyższego może być zestawienie pierwszych tomów

poety („Kamień“, „Dzień jak codzień“) z ostatnim. Uderza, poza właściwościami formalnymi, podobieństwo wątków treściowych. Czy to będzie „liryzm matrychalny“, łączący w sobie potrzebę deifikacji z nastrojami słabości, obawy i niepewności (por. „O niebie“ lub „We czterech“ z pierwszego tomu z „Nienazwanem niejasnem“); czy dwoisty wątek śmierci, uwidoczniony w symbolice ginących zwierząt: „zoologizm tragiczny“ (w „Kamieniu“: „kosą przecięty skonał zając“ — w „Nic więcej“: „dziewczęta w niembach zarzynają łabędzia srebrem piły“), czy równoważący poprzedni motyw nastroj rezygnacji, jakby spokojne uświadamianie sobie zbliżającego się aktu (tom pierwszy: „Przemiany“ — tom ostatni: „to wiem“ lub „wiersz o śmierci“). Podobnie powracających wątków możnaby podać więcej. Razem zebrane, dałyby ciekawe, niemal jednolite poematy.

Szczególną uwagę zwracają „liryki krajoznawcze“. Czechowicz przyzwyczaił nas do tego, że w każdym tomie spotykamy kilka arcydziełek tego rodzaju. Byłoby pożądane, by autor zebrał te „perełki“ i wydał własną „pleśń o ziemi naszej“. W nowej jego książce do takich „cudownych“ wierszy należy „przez kresy“, z którego przytaczam początek:

monotonnie koń głowę unosi
grzywa spływa razporaz rytmem
koła koła
ziola

terkocze senne półzycie
drożyną leśną łąkową
dołem dołem
polem

Niektóre wiersze Czechowicza odznaczają się odkrywczością pod względem melodyjności. Poezja ostatnia, zwłaszcza epigońsko-skamandrycka, popadła w monotonię, śpiewność jej — to dawno odkryte melodie, dające uprzykrzone powtarzanki rytmiczne. Czechowicz dowiódł, że rozwój śpiewności w lryce polskiej zależy od umiętłego poszukiwania nowych melodij. Przez umiętne skupianie i rozmieszczanie wyrazów dwusylabowych podnosi Czechowicz śpiewność wiersza. Możliwy też mówić o jego skłonności do „melodyjności przymiotnikowej“ lub „melodyjności dwu n“ (wonna winna, łunna, szklanna, dzwonna, piorunna, niezmlenna, sosenna); chociaż nie jest to zjawiskiem nowym, daje jednak, zależnie od okoliczności, doskonałe efekty.

W kilku miejscach zauważyłem coś, jakby stylizowaną naiwność, co do której wyrażam obawę, czy nie posiada charakteru infantyilizacji („na toni już chyba nic aha płatek nasturcji“). Ogarniają mnie też wątpliwości wobec niektórych realistycznych obrazów wprowadzonych w tło „okna lirycznego“, nprz. pstra koza w „nienazwanem niejasnem“.

Niektóre wiersze Czechowicza posiadają charakter wizyj, snów, i tem przypominają nadrealistów. Lecz nie jest to „muzyka podświadomości“. U Czechowicza jest to raczej taktyka wywoływania wizyj, nastrojów snu, nocy, księżycy, co nie oznacza relacji lecz fantazjotwórstwo trudniejsze: świadome tworzenie wątków fantastycznych z materiału najczęściej wolnego od surogatów literackich i sugestyj balladomańskich.

Wreszcie wątpliwości wywołane brakiem interpunkcji. Twierdzi się że nieuwzględnianie znaków przestankowania jest celowe, gdy poeta pragnie wywołać wielość interpretacji w umyśle czytelnika, i przez tę wielość, jakby na drodze fikcyjnej z nim dyskusji, dojść do uzgodnienia. Byłby to cel dydaktyczny, lecz wątpliwe, czy naprawdę potrzebny. Zgadza się jednak z tem że interpunkcja może być zbyteczna, gdy wizja poety powstaje wskutek skrzyżowania się kilku obrazów lub przez migawkowe następstwo części różnych wizerunków, które ostatecznie splatają się w plastyczną całość. Takie wiersze spotykamy u Czechowicza. Są jednak wiersze, które właściwie nie różnią się niczem od tradycyjnej liryki, nprz. wstępny wiersz „to wiem”, tak zbudowany, że ani wielość interpretacji nie może wchodzić w rachubę ani nie jest zespołem migawek. Zachodzi pytanie, czy zastosowanie zwykłych prawideł pisowni nie byłoby w takim wypadku właściwsze, chociażby dla podkreślenia różnicy formalnej, a także (jeżeli już mówi się o względach dydaktycznych) dla wskazania licznym naśladowcom, że sprawy interpunkcji nie należałoby traktować mechanicznie.

STANISŁAW ROGOWSKI. PANNY LEŚNE. A. Krawczyński. Lwów 1936. Str. 49 i 3 nl.

Rogowski należy do typu poetów, reprezentujących znaczną świeżość biologiczną. Widać to w swolstej wlejskości i leśności, uwidocznionej także w tytule książki. U poetów tego rodzaju najcenniejszym materiałem w zakresie słownictwa lub metaforyki staje się najczęściej flora, żywioł roślinny. Jest też inna skłonność: sięganie do źródeł języka, przybliżanie się do pierwotnego słowotwórstwa, co zazwyczaj nie bywa manierą, a pociąganiem pierwotnym intuicyjnego językotwórcy. Na wstępie książki rzuca się zaraz w oczy niby-leśmianizm, ale nie jest to objaw naśladowstwa czy zapatrzeńca, lecz raczej działanie reguły poezjotwórczej u poety o nadmienionej pierwotności i sile biologicznej. Rzekomy leśmianizm jest tylko podobieństwem.

Duży talent. Piękne wiersze, nie wszystkie skończone pod względem artystycznym i w stosunku do możliwości autora. Młodość poetycka, którą Rogowski chce opanować umiarem, rozrywa mu często marzenia o harmonii właśnie „nieumiarowym” chwytem: „kopnąłem kamień butem aż proch się wzbił na mięście”. Świetne koncepcje poety często psuje pozornie wysokowartościowymi wyrazami, jak stratosfera, kosmos, fantasmagorja, — nprz.:

leśne jądro dominantą rozświetli
a muzycznie to maestoso

Niektóre ryzykowne wyrażenia mszczą się na całości wiersza. Czar pryska:

dudni dudni w jaworowej studni
nastrojowe struny wypiął jesion

Nazwałby to nonszalancją poetycką. Niewątpliwym komizmem takiego ujęcia przypomina świetnie sparodjowane przez Kazimierza Wroczyńskiego ballady Zegadłowicza. Ta uwaga o tyle jeszcze się narzuca, że niektóre wiersze sielankowe przypominają kolędziołki Zegadłowicza. Ratuje je tylko większa doza męskości. Ale kilka ballad wskazuje, że nad Rogowskim wisi

jakby groza zegadłowiczyny. Nie odnosi się ta uwaga do „Pogrzebu”, który jest wierszem niecodziennym.

Pozatem o debiucie Rogowskiego można mówić tylko same pochwały.

STEFAN NAPIERSKI. ZAPOMNIANY POLSKI MODERNISTA. Warszawa 1936. Skład główny: T-wo Wydawnicze w Warszawie. Str. 58 i 2 nl.

Wacław Rolicz - Lider, którego losem było „prawie doskonałe przemilczenie za życia, głuza po śmierci”, zaczyna naprawdę niepokoić krytyków i historyków literatury. Stefan Napierski, na podstawie nielicznych i z trudem odszukanych wzmianek o poecie i w części tylko dostępnej twórczości, nakreślił próbną sylwetkę Lidera. Praca ta może być uważana za wstęp do rewizji. Sprawa Rolicz - Lidera jest może przykładem drastycznego zapomnienia, niemniej jednak nie należy do zjawisk odosobnionych. Podobne zaniedbania, domagające się wyrównań, istnieją w stosunku do nlejednego równie zapomnianego czy nieodkrytego poety z czasów niedawnych, podobne objawy, które dusiły Lidera za życia, należą i dziś do zjawisk najzwyczajniejszych. Dlatego sylwetka Lidera posiada niemało cech aktualności, na którą Napierski zwraca uwagę, omawiając konflikt Lidera z ówczesnym światem literackim. Lider, poeta kameralny, ale przytem drażliwiec nadzwyczajny, pisał o stowarzyszeniach, klikach i mafjach: „mających na celu wzajemne popieranie się i zabijanie wszystkiego, cokolwiek „śmiałyoby” pozostać poza obrębem ich towarzystwa”, rzucając oskarżenie kultury polskiej: „kraj, w którym panuje to wyjątkowe położenie, nazywa się Polską”. Historia nie zmieniła się pod tym względem, raczej cała sprawa doznała zaostrzenia do tego stopnia, że dziś świadectwo tak drażliwego przesadnie pisarza, jakim był Lider, wydaje się mało przekonującym wobec współczesnych świadectw pisarzy, występujących nie wskutek przewrażliwienia na punkcie osoblistych triumfów, lecz w imię społecznej zasady równouprawnienia przekreślanego przez sztuczny elitaryzm grupek.

Patrząc na postać Rolicz-Lidera sine ira et studio, doznaję różnych wątpliwości. Zgadzam się z tem, że poeta częściowo pomijany był przez historyków literatury, przechodził gorzkie doświadczenia z recenzentami, niemniej jednak słuszność po stronie Lidera była tylko częściowa. Podobny zatarg z krytyką musi przechodzić każdy pisarz, a poeta bądź co bądź przeczłony, żądający mirry, kadzidła i złota, jest zjawiskiem przykrem. Zresztą stosunek oficjalnej historii literatury był do Lidera naogół poprawny. Nie przeoczył go Feldman, dając charakterystykę może powlerzchową, ale przychylną, Antoni Potocki dał ocenę subtelną, ostatnio Czachowski wprowadził Lidera do grona poprzedników awangardy. Jeżeli uwzględni się niedostępność druków Lidera, trzeba przyznać krytyce wysoki stopień dobrej woli. Niewątpliwie, wszystko to jest niewystarczające. Rolicz-Lider powinien doczekać się osobnego tomu w „Bibliotece klasyków polskiego modernizmu” (gdyby taka istniała) i opracowania krytycznego. Ale to zaniedbanie nie dotyczy tylko Lidera, nie wynika ze specjalnego pomijania poety, lecz jest wyrazem ogólnego naszego ubóstwa kulturalnego. W podobnym położeniu będą wkrótce wszyscy dzisiejsi poeci polscy. Książki ich, wydawane dla przyjaciół, już obecnie są niedostępne, każdego czeka los Lidera, a zapewne jeszcze większe zapomnienie i prze-

milczenie, bo jeżeli krytyka polska nie zdołała dotrzeć do rzadkich druków jednego poety, jakże temu podola, gdy trzeba będzie „odkryć” stu poetów.

Bardzo ciekawie przedstawia się sprawa stosunków Liedera ze Stefanem Georgem. Ostatnio poświęcił temu rozprawkę w „Skamandarze” Kazimierz Bazar. Zarówno Bazar, jak i Napierski, podkreślają wpływy George’a na twórczość Liedera. Zagadkowo jednak przedstawia się także druga strona stosunku — jakle motywy wywołały entuzjazm niemieckiego poety do samotnika-cudzoziemca. „Stefan George, jeden z pierwszych poetów swej epoki, — mówi Napierski — w kilku tomach poświęca mu szereg wierszy, zaznaczając w jednym z nich, jakby pieczęć kładąc przyjaźni, ponad grób trwalszej, niż zaszczytem jest dlań, „Iż księżki ostatnie stronicie zdobić może to rycerskie imię”; tak mówił człowiek obcy, któremu prawie niepojęty był dźwięk wyrazów, ze szlachetnym umiarem składanych w ciągu lat trzydziestu przez Wacława Rolcz-Liedera, ale literatura polska nie przyjęła go w poczet swoich”. Zdaje mi się, mimo wszystko, że ostatnie zdanie sformułowane zostało zbyt pochopnie.

STANISŁAW CZERNIK

POEZJA W CZASOPISMACH

O ZMIANĘ POSTAWY TWÓRCZEJ. Wacław Kubacki ogłosił w „Gazecie Polskiej” z dnia 29 lutego artykuł pod tym tytułem. M. J. spotykamy tam interesujące uwagi dyskusyjne na temat poruszony w „Okolicy poetów” przez Alfreda Łaszowskiego w artykule „Już dosyć krajobrazów” (Nr. 8) i w uwagach Grzegorza Timofiejewa („Polemika z Łaszowskim” — nr. 9.) Kubacki pisze: „Dyskusję nad artykułem Łaszowskiego należałoby pchnąć mojem zdaniem na inne tory. Należy dać pokój walce z pejzażowem i pierwotkami w poezji lirycznej. Wacław Borowy pisał nawet niedawno, że zbyt mało mamy krajobrazów w poezji. Warto natomiast uderzyć w coś innego: w przewagę opisu nad życiem duchowem. Statyki nad dynamiką. Świata zewnętrznego nad światem wewnętrznym. W ten sposób stawia się kwestję szczerzej, albowiem na jednym pozłomie znajduje się opis wschodu słońca i opis turbiny. Uważam, że nie należy tematów krajobrazowym przeciwstawiać tematów gospodarczych i społecznych. Są to tematy innego rodzaju albo jak kto woli innej rangi. Sam jednak wybór tego czy innego tematu nie decyduje o niczem. Do tego potrzeba zmiany postawy twórczej. Opis posiedzenia Ligi Narodów (temat polityczny), eksportu bekonów (temat gospodarczy), manifestacji bezrobotnych (temat społeczny) czy topoli nadwiślańskich (krajobraz) będzie zawsze tylko opisem. „Musimy wykorzystać dramatyczne możliwości liryzmu” pisze likwidator krajobrazów. A więc jednak idzie o coś więcej niż o zmianę tematu. Stwierdzano nieraz w piśmiennictwie współczesnem zubożenie życia duchowego twórcy. Brak wielkich problemów namiętności, walk i konfliktów. Siłą rzeczy nastąpił zwrot ku opisywaniu zewnętrzości bytowania. Artysta mniej lub więcej świadomie okaleczył swą osobowość o całą sferę przeżyć. Kierunek to tem niebezpieczniejszy, że

minimalistyczny, wybierający drogę najmniejszego oporu. Ułatwiono w ten sposób rzecz w literaturze najgorszą, a mianowicie pasorzytowanie miernot na modłę literackiej. Złożyło się na ten stan wiele przyczyn: reakcja na metafizyczne mistyfikacje Młodej Polski, słabe tradycje powieści psychologicznej, oślnienie z powodu odkrycia uroków realizmu i powojenny wzrost barbarzyństwa duchowego. Wkońcu zwraca Kubacki uwagę na głód literatury przeżyć, który wyczuwa się u współczesnego czytelnika. Temu przypisuje powodzenie „Człowieka skończonego” Papini’ego, a u nas sukces poezji Wojciecha Bąka.

NOTY

GRUPA POETÓW KRAKOWSKICH w najbliższym czasie przystąpi do wydania szeregu tomów poetyckich. Niektóre z nich wejdą w skład „Biblioteki Okolicy Poetów”. Najpierw ukaże się książka Ignacego Fika „Plakaty na murze”. Autor „Kłamstw lustra” i „Przemian” jest jednym z najbardziej wyróżniających się poetów współczesnych. Należy sądzić, że nowy tom przyczyni się do „odkrycia” niesłusznie zapomnianego poety. Z następnych wydawnictw możemy wymienić: Heleny Moskwianki „Rzeczy z nami”, Marjana Czuchnowskiego „Śmierć i powódź”, oraz Lecha Piwowara „Róża wiatrów”. Ponadto piszą do nas z Krakowa (w związku z artykułami Kotta i Demczyka) że istnieje możliwość zorganizowania ogólnej akcji, mającej na celu unormowanie wydawnictw poetyckich i nawiązanie skutecznego kontaktu z handlem księgarskim. Zainteresowani poeci, mający zamiar wydać nowe tomy własnym nakładem, mogą otrzymać informacje za pośrednictwem „Okolicy Poetów”.

KSIĄŻKI NADEŚLANE :

Józef Brzezicki. Lahora. Poemat zwycięstwa potęgi wiary i cierpienia. Stanisławów — Warszawa 1936. Nakładem szkoły poetów neochrześcijańskich.

Aron Cotrus. Wybór wierszy. Przełożył Włodzimierz Lewik. Z przedmową Emila Biedrzyckiego. Liga Polsko-Rumuńska we Lwowie 1936.

Gabryel Karski. Noc zapomnienia. Dom Książki Polskiej 1936.

Adam Madler. Cienie zdarzeń. Powieść. Warszawa 1936. F. Hoesick.

Witold Powel. Legenda poznańska o mleczu przechowywanym w Katedrze. Nadbitka z „Kroniki miasta Poznania” 1935.

BIBLIOTEKA
UMCS
Lublin